

Informator krajoznawczy

Nr 3/43 (marzec) 2013



Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze
Oddział „Sudety Zachodnie” Jelenia Góra
Komisja Krajoznawcza



Wprowadzenie

Marzec to miesiąc spotkań krajoznawczych oraz pierwszych wycieczek. Turyści po zimowej przerwie ruszają na trasy. Ja czynię tak samo. Na początek postanowiłem pojechać do Mołkreszowa, gdzie zorganizowano sympozjum o Górach Sowich. Było ono na tyle ciekawe, że postanowiłem przybliżyć je. Zamieszczam zatem stosowną relację z tej imprezy. Zamieszczam także referat z którym wystąpiłem. Wspominam karkonoskie chatki i schroniska utracone w okresie powojennym oraz opisuję okolice mojego domu w Stanisławowie. Mam nadzieję, że zainteresuje to przynajmniej niektórych. Na koniec zdaję relację ze spaceru podczas którego witaliśmy wiosnę. Może nasze starania przyspieszą jej przybycie. Życzę miłej lektury.

Krzysztof Tęcza

Spis treści:

Str. 1 Wprowadzenie

Str. 2 Sympozjum sudeckie „Góry Sowie i nie tylko” – Mokrzeszów 2013

Str. 6 Góry Sowie widziane inaczej

Str. 7 Powitanie wiosny w Jeleniej Górze

Str. 10 Chatki i schroniska w Karkonoszach utracone w okresie powojennym

Str. 14 Moja Mała Ojczyzna (2) – okolice mojego domu

Sympozjum sudeckie „Góry Sowie i nie tylko” – Mokrzeszów 2013



Mokrzeszów 2013

W dniu 9 marca 2013 roku zorganizowano w Mokrzeszowie, wzorem roku ubiegłego, Sympozjum sudeckie. Tym razem prezentowane wystąpienia dotyczyły Gór Sowich. Kilkadziesiąt przybyłych osób miało okazję zapoznać się z bardzo ciekawymi, a nieraz mało znanymi faktami. Pozwoliło to nie tylko na poszerzenie wiedzy o tym ciekawym rejonie ale także zaowocowało planami konkretnych wycieczek, mających na celu sprawdzenie w terenie tego co tutaj usłyszeliśmy. Sympozjum zostało zorganizowane przez Klub Turystyki Górskiej „Łazek” oraz Delegaturę Sudecką Komisji Turystyki Górskiej Zarządu Głównego PTTK. Dlatego też gości przywitał i całość poprowadził Marek Szot.

Jako pierwszy wystąpił Dariusz Wójcik, który omówił górnictwo rudne w Górach Sowich. Chodzi tutaj oczywiście o eksploatację występujących tu rud srebra, ołowiu, cynku, miedzi i żelaza. Niestety rudy te były zbyt ubogie by pozwalały na długotrwałą eksploatację. Dlatego też powstające kopalnie szybko były opuszczane jako nieopłacalne. W miarę wymyślania nowych sposobów pozyskiwania cennych surowców zawartych w rudach powracano do opuszczonych kopalń. Jednak te nowe metody także nie pozwalały na długotrwałą eksploatację. Największe wydobywanie miało miejsce w XVI wieku. Później, w miarę wyczerpywania się złóż, wydobywanie spadało. Wiele zakładów było likwidowanych. Choć niektóre z nich prowadziły wydobywanie jeszcze w XX wieku. Dzisiaj najbardziej widocznym śladem

po tamtych czasach jest Srebrna Góra – miasto powstałe w związku z pracami wydobywczymi na tych terenach. Zachowały się dokumenty na podstawie których można stwierdzić, że osiedlali się tutaj górnicy, którzy zakładali kopalnie. W późniejszym czasie założono tutaj gwarectwo. W rejonie Warownej Góry powstało osiem dużych kopalń eksploatujących złoża. Niestety gwarectwa często wykazywały straty i dlatego ich działalność stawała się nieopłacalna. Również działania wojenne jakie miały miejsce na tych ziemiach także przyczyniały się do zaniku działalności górniczej. Na dzień dzisiejszy w Górach Sowich zachowało się wiele starych szybów czy wyrobisk ale patrząc na wydobycie jakie miało tu miejsce na przestrzeni wieków należy stwierdzić, że nie przynosiło ono spodziewanych wyników. Dlatego nie należy dziwić się, iż w końcu całkowicie upadło.

Krzysztof Krzyżanowski przedstawił górnictwo w Górach Sowich. Jednak w wystąpieniu tym skupił się na pokazaniu jak wiele zachowało się starych wyrobisk. Często spacerując po Górach Sowich możemy natrafić na jakieś mniejsze czy większe dziury. Gdy przyjrzymy im się bliżej okazuje się, że są to wejścia do nieczynnych już kopalń. Właśnie takie dziury wywoływały zaciekawienie autorów wystąpienia. Podejmowali oni zatem próby nie tylko wejścia do środka ale także poznania historii wydobycia w tych konkretnych miejscach. Można bowiem dotrzeć w archiwach do zachowanych dokumentów. Wbrew początkowym obawom, po przecięnięciu się wąskim przejściem, korytarze stają się coraz szersze i w wielu wypadkach dostępne do dalszej ich penetracji. Oczywiście należy zachować daleko posuniętą ostrożność tak by nie narazić się na kontuzje. Często chodniki są stabilne, z ich stropu nic nie odpada, no może poza dużymi skałami, które najczęściej leżą już na dnie i nie mogą wyrządzić nam żadnej krzywdy, chyba że potkniemy się o nie. Wiele z tych miejsc, nie posiada nazw, bo nie zachowały się takowe. Dlatego często nadawane są im nazwy własne wymyślone przez odkrywców. Często są to nazwy wynikłe z zabawnych czy wręcz nieprawdopodobnych sytuacji jakie miały tam miejsce.

Nie zawsze jednak nieczynne kopalnie to znalezione dziury w ziemi. Wiele z nich jest odnajdywanych dzięki studiowaniu starych map, na których były one zaznaczane. Wystarczy wtedy wyjść w teren i starać się odnaleźć punkty zaznaczone na tych mapach. W ten sposób autor odnalazł kopalnie, o której informacje zawarto w dokumentach z 1861 roku. Najpierw odnalazł słupek graniczny. Niestety był to nowy obiekt. Ale w niewielkiej odległości odnalazł drugi, nieco starszy. Pozwoliło to na znalezienie uszkodzonego słupka, o którym pisano w dokumentach. Teraz wystarczyło tylko dokonać odpowiednich pomiarów i wszystko było jasne. Kopalnia została znaleziona.

Czasami odnalezienie starej kopalni jest wynikiem zbiegu okoliczności czy wręcz mało znaczących odkryć. Nieraz wystarczy zwykłe przeczcucie. Było tak z kopalnią Augusta. W 1940 roku ukazał się w gazecie artykuł będący wywiadem z emerytowanym górnikiem, który przyczynił się do ponownego odkrycia tej kopalni. Znalazł on skałę, która po analizie, okazała się zawierać srebro. Urząd Górniczy uznał, że warto podjąć wydobycie i w krótkim czasie powstało kilka wyrobisk. Wyznaczono pole górnicze i powstała kopalnia. Dzisiaj można tam dostać się koło zawaliska i zobaczyć, że dalej chodniki są coraz szersze i wygodniejsze. Są one częściowo zalane wodą, co nieco utrudnia ich poznawanie. Warto jednak mimo tych wszystkich przeciwności udać się tam by poczuć dreszcz emocji i zobaczyć jak robi się nam gęsia skórka.

Tomasz Przerwa zatytułował swoje wystąpienie: „Turystyczne odkrycie Gór Sowich. Od dziewiętnastowiecznych peryferii do międzywojennego rozkwitu”. Turystyka w Sudetach zaczęła się już w XVI wieku. Dotyczyła jednak Karkonoszy czy Ziemi Kłodzkiej. Niestety Góry Sowie nie były aż tak atrakcyj-

ne i dlatego początkowo rozwijało się tutaj tkactwo. Dzięki temu powstawały nowe osiedla ludzkie. Tkacze żyli w biedzie, co w późniejszym okresie przełożyło się na masową sprzedaż domów i opuszczanie tych terenów. Później powstają tu kopalnie. Turyści mając do wyboru atrakcyjne tereny Karikonoszy wybierają wypoczynek tam. Tam też znajduje się potrzebna infrastruktura turystyczna. W Górach Sowich turystyka zaczyna rozwijać się w okresie międzywojennym. Ma to bezpośredni związek z uprawianiem narciarstwa. Rozwijała się turystyka typowo narciarska, mimo iż nie było tutaj wielkich skoczni narciarskich czy innych urządzeń potrzebnych do uprawiania sportów zimowych. Powstawało tu bardzo dużo tras narciarskich. Bliskość Wrocławia sprawiła, że zaczęto doceniać te tereny jako miejsce do uprawiania wędrówek narciarskich. Doprowadziło to w pewnym okresie do konieczności tworzenia ruchu jednokierunkowego na tych trasach, tak by udroźnić oblegane rejony. Niestety rosnąca lawinowo ilość turystów nie przekładała się na ilość noclegów. Turyści przyjeżdżali tu na jeden dwa dni. A więc była to mała ilość noclegów. Zresztą baza noclegowa jaka wtedy istniała nie pozwalała na więcej. Dlatego bardziej rozwijała się baza gastronomiczna. W Górach Sowich brakowało atrakcji turystycznych mogących przyciągać potencjalnych turystów. W tamtym okresie rozwijała się turystyka skupiona wokół uzdrowisk. Niestety tutaj nie było rozwiniętego lecznictwa uzdrowiskowego. Początkowo także problemem była komunikacja. Nie wszystkim stać było na korzystanie z połączeń dyliżansowych, które były bardzo kosztowne. Później, gdy powstały połączenia kolejowe sytuacja znacznie poprawiła się. Właśnie to spowodowało lawinowy napływ mieszkańców Wrocławia dla których Góry Sowie stały się bardzo blisko położoną atrakcją. Pierwsze schroniska na tym terenie powstały dopiero pod koniec XIX wieku, a więc stosunkowo późno. Także późno powstały tu towarzystwa zajmujące się sprawami turystyki i krajoznawstwa (Towarzystwo Sowiogórskie – 1882). Szybko jednak wszystkie organizacje utworzyły Federację Towarzystw Górskich. Pozwoliło to na w miarę szybkie zagospodarowanie turystyczne tego terenu. Zaczęto budować wieże widokowe. Należy podkreślić, że te początkowe prace wykonywano ze składek członkowskich oraz datków sympatyków. Największy rozkwit turystyki (narciarskiej) miał miejsce, jak już było wspomniane, w okresie międzywojennym. Według dokumentów przybywało tu nawet do stu autobusów dziennie. I to wszystko mimo braku infrastruktury narciarskiej. Jedyna skocznia narciarska (Sokolec) pozwalała na skoki rzędu 30-40 metrów. II wojna światowa to właściwie koniec turystyki w Górach Sowich. Wojsko niemieckie rekwirowało cały sprzęt narciarski jaki posiadali mieszkańcy. Nie były to czasy bezpiecznych wędrówek górskich. Po zakończeniu działań wojennych ruch turystyczny, z wiadomych powodów, zamarł na bardzo długo. Dzisiaj turyści powrócili tu ponownie jednak nie jest to, mimo organizacji wielu ciekawych imprez, masowa turystyka. Góry Sowie wciąż pozostają w kręgu zainteresowania pasjonatów.

Witold Papierniak zaprezentował nam "Sudeckie panoramy". Uczynił to na przykładzie Wielkiej Sowy i Góry Wszystkich Świętych. Wykorzystał do tego celu zdjęcia przekazane mu przez kolegów i znajomych. Same zdjęcia były bardzo ciekawe, jednak myliłby się ten, kto myśli, że tylko o to chodziło naszemu mówcy. Otóż w jego zamyśle była chęć pokazania nam jak należy zabierać się do zrobienia ciekawej i czytelnej panoramy górskiej. Bo przecież, przy dzisiejszych aparatach fotograficznych, nie jest to problemem. Ba, nawet nie trzeba specjalnie wysilać umysłu. Aparaty same dobiorą wszystkie potrzebne parametry. Najważniejszym jednak w panoramie jest umiejętność wyłapania punktów, które mogą posłużyć do zorientowania się w całości. Ważnym jest miejsce, z którego wykonujemy zdjęcie. Nie może ono być za blisko ale i za daleko. W zależności od wysokości z jakiej robimy zdjęcie możemy stracić widok na nasz główny cel. Bo w zależności właśnie od tego czy dane zdjęcie robimy z ulicy, z dachu wieżowca czy jakiegoś szczytu, to to co widzimy otrzyma zupełnie nowy wymiar. Często będziemy zaskoczeni, że wydawałoby się najwyższe szczyty (patrząc na ich położenie nad poziomem

morza) na zdjęciu będą mniejsze od tych niższych, a czasami zupełnie niewidoczne, gdy niewielkie wzniesienie przesłoni je całkowicie. Czasami osiągamy widoki zaskakujące i zupełnie niezamierzone. Wynika to z faktu, że znając kształt danej góry spodziewamy się taki właśnie zobaczyć, a tu okazuje się, że patrząc z innej strony góra ta wygląda całkowicie inaczej przez co burzy nasze oczekiwanie i często powoduje, że mamy problem by zlokalizować ją na zdjęciu.

Panoramy górskie różnią się także gdy dane zdjęcie robimy ze szczytu, a później podczas schodzenia na dół. W każdym miejscu, mimo iż fotografujemy ten sam odcinek gór, zobaczymy zupełnie coś innego. Dlatego bardzo ważnym jest dobra znajomość topografii poszczególnych pasm górskich. Na pewno pomoże to nam w szybkim ich odszukaniu.

Ponieważ niemożliwym jest pozyskanie udanych panoram przez jedną osobę, kol. Witold zaapelował by przysyłać do niego udane zdjęcia, a on postara się je dobrze opisać. I tak będzie najlepiej. Możemy oczywiście sami próbować swoich sił jednak czasami gdy będziemy potrzebowali pomocy nie powinniśmy się wzbierać przed nią i korzystać z doświadczenia tych, którzy tej pracy poświęcili wiele lat swojego życia.

Monika Drozdowska zaprezentowała nam Nadleśnictwo Świdnica, na terenie którego znajdują się Góry Sowie. Nadleśnictwo obejmuje swoim zasięgiem obszar prawie tysiąca kilometrów kwadratowych, leżący na terenie 24 gmin i 6 powiatów. Nadleśniczy jest jeden a urzędników, z którymi należy współpracować, wielu. Dlatego nie jest łatwo. Dla turystów przygotowano 6 ścieżek edukacyjnych. Niestety tak jak wszędzie umieszczane na nich opisy są niszczone co generuje środki i czas, które można by przeznaczyć na nowe prace. Choćby na budowę nowych wież widokowych. Ostatnio zbudowana wieża na Kocim Grzbiecie w Bielawie tak się spodobała, że już czynione są starania zmierzające do powstania kolejnej. Rozwój ruchu turystycznego na terenie Nadleśnictwa jest równie ważny jak ochrona przyrody tego terenu. Na przestrzeni lat powstały liczne rezerваты. Ochroną objęto m. in. jezioro Daisy, górę Choina z zamkiem Grodno czy Bukową Kalenicę. Mamy tutaj ośrodek hodowli muflona. Obecnie żyje tu ponad 370 osobników tego gatunku. Zachodzi zatem konieczność pilnowania stanu ich zdrowia choćby poprzez sprowadzanie tzw. świeżej krwi. Ze względu na występujące tutaj stare kopalnie czy sztolnie teren ten jest zamieszkały przez nietoperze. By je chronić powstała Ostoja Nietoperzy Gór Sowich. Niestety u ludzi wciąż panuje przekonanie, że nietoperz to wróg i w ogóle jest on zagrożeniem. Jest to oczywiście pogląd tyle dziwny co i niesłuszny. Nietoperze oczywiście tak jak każda istota potrafią się bronić. Nie robią jednak człowiekowi większych szkód. Mało tego, w rejonach gdzie one występują eliminują wszelkie robactwo. Można zauważyć, że nie ma tam komarów czy much. Dlatego ważnym jest stosowna edukacja już u dzieci. W tym właśnie celu powstała Stacja Edukacji Ekologicznej. Znajduje się tam sala wykładowa na 50 miejsc, sala z mikroskopami, mały zwierzynek, czy sztuczna jaskinia nietoperzy (hit!). To tam właśnie dzieci dowiedzą się o ich życiu i zwyczajach; o tym, że nie należy się ich bać; a także o tym, że gdy nieostrożny osobnik przypadkiem znajdzie się w naszym domu to należy mu umożliwić swobodną ewakuację otwierając okno i gasząc światło. Na pewno skorzysta on z tej szansy. Stacja jest oczywiście dostępna nieodpłatnie, a pracownicy bardzo chętnie dzielą się swoją wiedzą i zapraszają nauczycieli by przyprowadzali tutaj dzieci, bo taka lekcja na pewno zapadnie im w pamięci.

Zbigniew Romankiewicz przywiózł dwie olbrzymie plansze ze znaczkami turystycznymi. Mogliśmy zatem obejrzeć nie tylko te polskie ale także z pozostałych piętnastu państw, w których można je zdobywać. Zbigniew jest przedstawicielem firmy produkującej znaczki i dlatego ma w tym względzie

najświeższe wiadomości. Jest oczywiście strona internetowa, na której dowiemy się wszystkiego i ewentualnie zamówimy brakujący nam do kolekcji znaczki, oczywiście pod warunkiem spełnienia wymaganych regulaminem warunków. Nie ma bowiem możliwości nabycia znaczków kolekcjonersko. Swoje kolekcje mogą tworzyć tylko zdobywcy znaczków.

Sama idea znaczka powstała w Czechach, kiedy to w 1997 roku w celu mobilizacji młodych ludzi do wyruszenia na wycieczkę górską ukryto na szczycie wykonany ręcznie drewniany znaczek. Ponieważ pomysł chwycił, po roku stworzono zasady znaczka turystycznego. Określono jego wzór, wymiary i materiał z którego będzie on produkowany. Określono także zasady na jakich będzie wybierane miejsce czy obiekt prezentowane na znaczku. Obecnie znaczek jest zarówno pamiątką jak i potwierdzeniem pobytu turysty w określonym miejscu. Nabyć go można tylko w tym jednym miejscu. Oczywiście gdy nie ma tam takiej możliwości znaczki nabywa się w centrali, która obecnie znajduje się w Złotym Stoku, jednak wtedy trzeba udokumentować swój pobyt w danym miejscu. W Polsce znaczki funkcjonują od 2004 roku. Na stronie internetowej zamieszczane są krótkie opisy miejsca upamiętnionego znaczkiem. Pozwala to na pogłębianie wiedzy krajoznawczej przez zdobywców znaczka. Powoli powstają grupy kolekcjonerskie. W 2012 roku odbyło się I spotkanie kolekcjonerów Znaczka Turystycznego w Polsce. Nie ma znaczenia jak docieramy do miejsc wyróżnionych znaczkami. Ich zdobywcy to przedstawiciele wszystkich rodzajów turystyki. Są już ludzie dla których zbieranie znaczków stało się celem w uprawianiu turystyki. Rekordzistą w tym względzie jest obywatel Czech, pan Jaroslav Friedman, zdobywca 6366 znaczków. Oczywiście ma on wielu naśladowców, którzy poznają walory krajoznawcze położone w 15 krajach, w których upamiętnia się je znaczkami.

Na koniec podam stronę internetową, na której każdy zainteresowany znajdzie potrzebne mu wiadomości. Jest to www.znaczk-turystyczne.pl Podam także, bo jest to jak na razie niezwykle, że produkowane są także znaczki okolicznościowe upamiętniające niezwykle wydarzenia. Tym razem takim rarytasem będzie znaczek wykonany na organizowany przez Klub Turystyki Górskiej „Łazek” Międzynarodowy Zimowy Biwak Górski na Śnieżniku.

Ostatnią osobą, która wystąpiła w Mokreszowie był autor tych słów – Krzysztof Tęcza. Gdy otrzymałem informacje o temacie spotkania przypomniałem sobie o zabawie krajoznawczej jakiej czasami się poddaję. Polega to na tym, że kładę przed sobą mapę i długo, nieraz bardzo długo wpatruje się w nią. Po jakimś czasie coś w tej mapie mnie zainteresuje, coś mi wpadnie w oko. Tak też było gdy oglądałem mapę Gór Sowich. Zaciekawilo mnie wtedy czy znajdują się tam jeszcze inne nazwy związane ze zwierzętami. Okazało się, że tak. Naliczyłem aż 42. nazwy zwierząt. Wśród nich były nazwy określające wsie, skały, zbocza, przełęcz czy przystanek PKS. Aż 18. z nich były to nazwy ptaków. Nie będę tu oczywiście wyliczał ich, jednak zachęcam wszystkich do podejmowania takiej zabawy, zwłaszcza z młodzieżą. Wszak mapa turystyczna zawiera tak wiele wiadomości krajoznawczych, że często wystarczy za przewodnik.

Góry Sowie widziane inaczej

Chcę przedstawić, znane zapewne wszystkim bez wyjątku, Góry Sowie. Ale chcę to uczynić nieco inaczej. Zainteresowało mnie bowiem, że jeśli w swojej nazwie mają one ptaka, to czy jest tam więcej zwierząt. Przejrzałem więc dokładnie mapę i okazało się, że tak właśnie jest. Znajdują się tam aż 42 interesujące mnie, z powyższego względu, obiekty. Wśród nich są 3 wioski, 4 skały, 7 zboczy, 24 szczyty oraz po jednym potoku, schronisku, przełęczy i przystanku PKS. Aż 23 spośród nich ma określoną wysokość nad poziom morza. Z tym, że 2 mieszczą się w przedziale 550-600 m, 7 ma ponad 600

m, również 7 ma ponad 800, 3 ponad 900, a tylko jeden wznosi się ponad 1000 metrów. Jest nim oczywiście Wielka Sowa – najwyższy szczyt tych gór.

Ciekawie przedstawia się zestawienie nazw pod kątem różnych gatunków zwierząt. W sumie można doliczyć się ich aż 23. Oczywiście trzeba patrzeć na to w przymrużeniu oka, i traktować to jako zabawę. Mamy bowiem takie nazwy jak Kobylec, Lisiec, Gęsiorek, Żmij, Wilczyna, Sowina. Nie są one tak przejrzyste, jak Wilk czy Orzeł. Dlatego też trzeba je potraktować nieco łagodniej i przyjąć w przybliżeniu za poprawne. Ponieważ w nazwach tych występują różne zwierzęta, zarówno poważne (Dzik, Niedźwiedź), jak i mniej okazałe, możemy podzielić je na dwie grupy. W pierwszej umieścimy nazwy dotyczące zwierzyny grubej, a w drugiej samych ptaków. Myślę, że ze względu na to, iż chodzi tutaj o Góry SOWIE, taki podział jest najlepszy. U tak, wśród nazw wziętych od ptaków mamy następujące: Gęsiorek, Gołębia, Wrona (są dwa takie szczyty w pobliżu siebie, i to o takiej samej wysokości wynoszącej 693 m n.p.m.). Jest jeszcze Kawka, Czyżyk, Sowina, Sowa, Wielka Sowa, Mała Sowa, Sowi Potok, Sokolec, Sokolica, Przełęcz Sokola, Sokół, Orzeł (zarówno schronisko, jak i przystanek PKS) oraz Sępik.

Jeśli chodzi o pozostałe gatunki zwierząt, to reprezentowane są one w takich nazwach jak: Świnka, Lisia, Lisie Skały, Lisiec, Kobylec, Wiewiórka, Diczek, Dzik, Wolica, Żmij (szczyt i skała), Niedźwiadki, Niedźwiedzia Skała, Czarny Niedźwiedź, Wilczyna, Koziołki, Kozia Równia, Kozi Grzbiet, Borsucze Wzgórze, Jelenia Polana, Jelenie Zbocze, Barani Dół, czy Zajęczy Rów.

Z powyższego wynika, że nazw wywodzących się od ptaków występuje 18, co stanowi ponad 40% ogółu. Myślę poprzestać już na tych wyliczeniach. A mam nadzieję, że były one interesujące. Tym bardziej, iż można na ich podstawie stwierdzić o Górach Sowich: TO PRAWDZIWY ZWIERZYNIEC!

Powitanie wiosny w Jeleniej Górze

Zima to bardzo ciekawy okres roku. Jest wtedy może nieco zimniej lecz dzięki temu mamy czyste powietrze, oddychając którym czujemy zapach naszych pięknych gór. Wszystko jest wówczas przykryte białym puchem, co sprawia, iż świat wokół nas jest czysty i aż chce się, mącąc tą biel, wyjść z domu i ruszyć przed siebie. Zimą góry wyglądają często tajemniczo. Często fantastyczne kształty przysypanych śniegiem skał czy drzewa uginające się pod ciężarem szadzi wywołują w naszym umyśle różne odczucia. Zima to pora roku bardzo pożądana przez każdego turystę. Jednak zima zbyt długa potrafi skutecznie zniechęcić do uprawiania turystyki. Dlatego też, mając na uwadze to co dzieje się za oknem, Koło Grodzkie PTTK oraz Komisja Krajoznawcza przy Oddziale „Sudety Zachodnie” w Jeleniej Górze zorganizowały w sobotę 23 marca 2013 roku wycieczkę na powitanie wiosny.



Witający wiosnę przed „Mechanikiem” w Jeleniej Górze

Postanowiliśmy pokazać opóźniającej się wiosnie, że czekamy na nią, że wypatrujemy jej, i że pragniemy by już przyszła ona do nas. Może właśnie dlatego na miejsce, z którego mieliśmy ruszyć na naszą wycieczkę przyszło aż tak dużo osób. Pogoda, jakby popierając nasze zamierzenia ustabilizowała się. Nic nie padało z nieba, czuć jedynie było lekki mrozek. Ale to nie jest straszne dla zaprawionych piechurów. Nawet przybyłe dzieciaki nie przejmowały się tym lekkim chłodem.



Miejsce wrzucenia Marzanny do Bobru

Aby mieć jakąś pamiątkę zrobiliśmy sobie zdjęcie na tle bramy wejściowej na teren "Mechanika". Następnie żartując doszliśmy do mostu na Bobrze. Uznaliśmy bowiem, iż nurt rzeki Kamiennej nie daje nam gwarancji szybkiego spłynięcia Marzanny do morza. Gdy wszyscy nasycili się widokiem wykonanej przez Anię Marzanny, zgodnie ze zwyczajem podpaliliśmy ją i gdy ta już ładnie płonęła prowadzący wycieczkę (Krzysztof Tęcza) rzucił ją z mostu w nurt rzeki Bóbr. Trzeba przyznać, że pięknie wyglądała, gdy szybko oddalała się w stronę widocznego na wzgórzu Grzybka, by po chwili zniknąć za zakrętem rzeki i w płynąć pod wiadukt kolejowy.

Teraz byliśmy już pewni, że za kilka dni zawita do nas prawdziwa wiosna. Trzeba tylko cierpliwie jej wypatrywać. Zaciągnęliśmy się świeżym, nieco zmrożonym powietrzem, i ruszyliśmy dalej. Byliśmy bardzo zadowoleni. Dawniej bowiem w tym miejscu nikt przy zdrowych zmysłach nie oddychałby głęboko. Dzisiaj jednak, gdy wybudowano tu nowoczesną oczyszczalnię ścieków nie ma już problemu z nieprzyjemnym zapachem unoszącym się po okolicy.

Spacer zapowiadał się ciekawie. Brak śladów na śniegu oznaczał tylko jedno. Jesteśmy pierwszymi, którzy w dniu dzisiejszym dotrą prawą stroną Bobru do mostku na Jeziorze Modrym. Po drodze spotykaliśmy co prawda pana z pięknym pieskiem, ale szedł on w przeciwną stronę. Podziwiając fruwiącące kaczki szybko dotarliśmy do miejsca zwanego Końcem Świata. Jedyne co wywoływało w nas lekkie dreszcze to moment kiedy kaczki siadały na wodzie by płynąć z nurtem rzeki. Jak one to wytrzymują? Brrrr...



Prowadzący wycieczkę (Krzysztof Tęcza) wrzuca Marzannę w wody Bobru. Foto: Anna Tęcza

Nie powiem, momentami nasza ścieżka, prowadząca brzegiem Bobru, stwarzała nam problemy. Trzeba było bardzo uważać by nie wpaść do zimnej wody. Jednak najgorsze było przed nami. I nie mam tutaj na myśli tych ponad stu schodów prowadzących do wybudowanego prawie sto lat temu schroniska „Pęta Zachodu”. Problemem były przegniłe deski leżące na bardzo długim mostku. Wielu z nich brakowało. Wiele z nich dosłownie sypało się gdy stawaliśmy na nich. Musieliśmy pilnować idące z nami dzieci, by bezpiecznie dotarły na drugi brzeg jeziora. Od dłuższego czasu nikt nie przyznaje się do tego mostku a jak widać w każdej chwili może dojść tu do tragedii. Pewnie wtedy ktoś wymieni przegniłe deski. Tylko czy trzeba czekać aż wydarzy się tu tragedia? Czy nie można zrobić tego wcześniej? Może ktoś się wreszcie zainteresuje tym problemem!



Zasłużony posiłek

Nie narzekajmy jednak. Wreszcie jesteśmy w schronisku. Co prawda sala jest przygotowana do uroczystości weselnych, jednak gospodarz widząc tak liczną grupę, szybko zniósł z góry kilka dodatkowych stolików i mogliśmy zagrzać się pijąc ciepłą herbatkę. Każdy pamiętał jednak o obiecany ognisku, więc posiliwszy się nieco ruszyliśmy w stronę Jeleniej Góry. Przy „Cudownym Źródleku” cze-

kało nas prawdziwe wyzwanie. Musieliśmy wdrapać się korytem cieku wodnego pod górę tak by dotrzeć do Cesarskiego Dębu. Nie było łatwo. Jednak daliśmy radę i już wkrótce znaleźliśmy się na Kaplicznym Wzgórzu. Tutaj rozpaliliśmy ognisko i częstowaliśmy się przyniesionymi smakołykami. Czuć było zapach pieczonych kiełbasek, które przygotowane w takich warunkach smakowały nam bardzo. Były wprost wyśmienite. Zarówno ciepło bijące od ognia, ciepły posiłek, jak i ciepło wyczuwalne w promieniach słonecznych wywołały u wszystkich wyśmienity humor. Pozostało nam już tylko zasypać śniegiem ognisko i wrócić do naszych domów tak by podzielić się tą radością, jaka była naszym udziałem, z naszymi bliskimi, tymi którzy nie mogli być tu razem z nami.

Chatki i schroniska turystyczne w Karkonoszach utracone w okresie powojennym

Temat jaki proponuję tym razem jest wynikiem zauważenia strat jakie ponieśliśmy jako społeczeństwo w okresie po II wojnie światowej. Bo prawda jest taka, że wiele z obiektów wykorzystywanych turystycznie przetrwało działania wojenne, nieraz bez większych uszczerbków. Ba, często przybywający tu nowi mieszkańcy, byli zaskoczeni tym, że domy były wyposażone we wszystko co jest potrzebne do normalnego funkcjonowania. Niestety nie trwało to zbyt długo. Najpierw pojawiali się tu szabrownicy, wywożący co tylko się dało. Później przybywali w te strony osadnicy, którzy nie do końca wierzyli, że to miejsce będzie od tej pory ich domem. Byli niemal pewni, iż jest to okres przejściowy. Dlatego nie przywiązywali specjalnej wagi by dbać o zastany majątek. Na to wszystko nałożyły się z czasem względy polityczne, niedoinformowanie urzędników, a także bliskość granicy. I niestety w krótkim czasie obiekty, w których jeszcze niedawno kwitło życie zaczęły podupadać. Ponieważ było ich w tamtym okresie bardzo dużo, nikt nie robił z tego faktu dramatu. Po prostu pozostawiało się taki zdewastowany obiekt i przenosiło do nowego, jeszcze nadającego się do użytkowania. Co prawda zaczęli pojawiać się prywatni właściciele, a wśród nich pasjonaci zauroczeni górami, jednak następowało to bardzo powoli. W miarę upływu czasu oraz zwiększonego zainteresowania wypoczynkiem w tak ładnej okolicy, jak i pewnym uregulowaniem spraw pobytu w strefie nadgranicznej, oraz, co tu kryć, kurczącą się bazą turystyczną, zmieniało się nastawienie do dbania o posiadane już obiekty. Jednak większą ich część przejęły różne firmy czy instytucje. Choćby Fundusz Wczasów Pracowniczych. Obecnie sytuacja wygląda zupełnie inaczej. Po przejęciu części obiektów przez osoby prywatne zaczęto o nie dbać, dostrzegając w tym sposób zarabiania na życie. Każdy kto tylko ma taką możliwość stara się obecnie remontować stare budynki przywracając i uwypuklając ich historię, nieraz niezwykle bogatą. Jednak wiele z tych obiektów pozostawionych samych sobie uległo zagładzie. Wiele z nich spłonęło, nieraz w niewyjaśnionych do dnia dzisiejszego okolicznościach. W zasadzie po niektórych obiektach nie pozostały żadne ślady poza starymi pocztówkami. Co ciekawe, mimo logiki, nikt nie próbował ich odbudować. W niektórych wypadkach podejmowano co prawda wstępne projekty ale zawsze kończyły się one tak samo, czyli zaniechaniem tematu.



Smogorniak w latach osiemdziesiątych XX wieku

Aby uświadomić wszystkim jak dużo straciliśmy takich obiektów przedstawię niektóre z nich. Oczywiście obiekty te dobrałem według pewnych przemyśleń i jedni mogą poczuć pewien niedosyt a drudzy stwierdzić, iż jest ich zbyt dużo. Tak naprawdę to co podam jest tylko niewielką częścią utraconych a wykorzystywanych dawniej obiektów turystycznych.



Smogorniak w trakcie remontu

Zgodnie z tytułem zacznę od domku myśliwskiego stojącego na zboczu Czarnej Kopy znanego jako chatka Morgana. Chociaż zawsze mówiło się o niej zdrobniale czyli Morganka. Był to niewielki obiekt zbudowany z drewna, w którym można było przenocować; chociaż w okresie zimowym, ze względu na brak opału, nie było to wcale takie wygodne. Pod koniec 1985 roku chatka spłonęła doszczętnie. Kolejna chatka, która nie doczekała naszych czasów znajdowała się w pobliżu Śnieżnych Stawków. Wybudowana w 1935 roku jako schron zniknęła z krajobrazu w latach sześćdziesiątych XX wieku, służąc wcześniej jako stacja badawcza Polskiego Towarzystwa Geograficznego. Posiadam absolutnie wyjątkowe zdjęcia tego obiektu. W swoim domowym archiwum znalazłem zdjęcie wykonane 01.11.1959 roku a przedstawiające chatkę jaka istniała koło Suchej Góry. Obecnie nie ma już tego obiektu. Jako ciekawostkę pokażę także zdjęcie z maja 1960 roku będące jedynym śladem, że w Kotle Smorgoni istniał wyciąg narciarski.

Niektóre z chatek w ostatnim półwieczu zmieniły nieco swój wygląd dzięki przeprowadzonym w nich pracom remontowym. Było to wynikiem porozumień pomiędzy właścicielem obiektu czyli Karkonoskim Parkiem Narodowym a opiekunami chatek. I tak remonty takie przeprowadzono w Smogorniaku. Na podstawie zdjęć można prześledzić zmiany zewnętrzne zachodzące dzięki tym pracom, chociaż akurat w tym przypadku warto przyjrzeć się także zmianom jakie zaszły w najbliższym otoczeniu obiektu. Otóż na pierwszym zdjęciu z lat pięćdziesiątych XX wieku widzimy rosnące potężne drzewa. Na zdjęciach z lat siedemdziesiątych widać już tylko korzenie jakie pozostały po nich. Tak to czasami w górach bywa. Ale ostatnie zdjęcia znowu pokazują las rosnący wokół Smogorniaka. I tutaj muszę powiedzieć, że na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, kiedy to prowadziłem w Smogorniaku Rejonową Grupę Straży Ochrony Przyrody, wszyscy strażnicy oraz osoby pragnące nam pomagać przeprowadzili akcję sadzenia lasu. Było to związane z umową podpisaną z Parkiem a dotyczącą remontu. Dlatego drzewa, a właściwie las jaki widzimy dzisiaj wokół chatki jest wynikiem tamtej akcji.

Również chatka AKT była remontowana i przebudowywana w różnych okresach czasu. Był tam nawet drugi budynek gospodarczy, który został jednak rozebrany.

Obecnie swój wygląd zmienia chatka Puchatka, jako że całkiem niedawno KPN zdecydował o jej remoncie. Oczywiście zmiany te dotyczą tylko nowego poszycia, gdyż sam kształt budynku pozostanie oczywiście bez zmian. Aby uświadomić wszystkim jak trudne są do prowadzenia prace remontowe w górach, powiem że tarcica potrzebna do remontu została dostarczona do miejsca do którego mógł dojechać samochód ciężarowy. Natomiast dalej już przez góry trzeba go przenieść na własnych plecach. Tak też się działo zarówno tutaj jak i w opisywanym poprzednio przypadku Smogorniaka. Mogę zatem powiedzieć, że niektórzy z nas długo odczuwali tą ciężką ale konieczną pracę bez której chatki skazane byłyby na zagładę.

Mimo iż w tytule są Karkonosze pozwolę sobie wspomnieć o dwóch chatkach położonych w Górach Izerskich. Pierwsza nazywana była Byczą Chatą i znajdowała się pod Tłoczyną, druga Walońską i położona była w rejonie Wysokiej Kopy. Pierwsza rozsypała się gdyż nikt o nią nie dbał, druga spłonęła gdy przebywali w niej lekkomyślni turyści.

A trzeba przyznać obie były bardzo ciekawymi obiektami. Aby przenocować w pierwszej trzeba było poprosić leśniczego o klucze. By dotrzeć do drugiej, zwłaszcza w zimę, trzeba było nieraz kilkunastu godzin przedzierania się przez śnieg, w którym zapadaliśmy się po pas.

Wracając jednak do Karkonoszy utraciliśmy tutaj kilka dużych schronisk turystycznych. W roku 1945 spłonęło położone nad Wielkim Stawem schronisko księcia Henryka, dawne Prinz Heinrich Baude. Niestety z uwagi na pełnię zimy nie było możliwości przeprowadzenia skutecznej akcji ratunkowej. Dzisiaj pozostały już tylko resztki fundamentów i wydaje się, że nie ma najmniejszych szans na jego odbudowę.

W roku 1966 spłonęło schronisko Bronka Czecha na Polanie, przed wojną znane jako Schlingelbaude. Był to obiekt o wysokim standardzie, ze względu na popularność kilkakrotnie powiększany. Tutaj także pożar wybuchł w okresie zimowym i straży pożarnej nie udało się dotrzeć na miejsce w odpowiednim czasie. Co prawda w tym wypadku były plany jego odbudowy ale nic z tego nie wyszło.

Kolejnym obiektem jaki zniknął było schronisko na Przełęczy Kowarskiej, które po wojnie nazywane było przez jakiś czas Szczytno. W roku 1973 ze względu na zły stan techniczny obiektu został wydany nakaz jego rozbiórki. Tak też się stało.



Bycza Chata, końcówka XX wieku

W 1986 roku spłonął Bar pod Lipami w Przesiece, będący chyba najpopularniejszym obiektem gastronomicznym w tym rejonie. Zachowała się z niego tylko weranda. A trzeba wiedzieć, że obiekt ten uchodził za wzór miejscowego budownictwa. Praktycznie wycieczki jakie tu przyjeżdżały czyniły to nie dlatego by wypić piwo ale by obejrzeć wystrój wnętrza tego lokalu.

W Szklarskiej Porębie zbudowano w latach dwudziestych XX wieku schronisko Zackelfallbaude, swoją nazwą nawiązujące do wodospadu znanego dzisiaj jako Kamieńczyk. Jak na tamte czasy był to obiekt o wysokim standardzie. Po wojnie przejął go wojsko, później został przemianowany na ośrodek wypoczynkowy "Kamieńczyk". Podczas prac remontowych w 1984 roku wybuchł pożar całkowicie trawiąc budynek. Po piętnastu latach inwestor prywatny zbudował tu nowe schronisko, funkcjonujące do dnia dzisiejszego. Kolejny budynek w Szklarskiej Porębie, a właściwie jego resztki, to Abendburgbaude początkowo gospoda, później schronisko. Po wojnie przemianowana na DW Polanka. Następnie w rękach prywatnych. Obecnie nie nadaje się już do remontu.

W Miłkowie znajdowało się przed wojną bardzo komfortowe schronisko Bergfrieden Baude. Po wojnie było tu Prewentorium dla dzieci. Niestety obecnie jest to tylko wielka ruina położona w ładnym miejscu.

Myślę, że wystarczy tych przykładów by pokazać ile pięknych obiektów utraciliśmy w okresie powojennym. Oczywiście było ich o wiele więcej ale nie chodziło mi tutaj o wywołanie przykrego nastroju. Chodzi mi o wywołanie przeświadczenia o konieczności dbania o pozostałe obiekty, tak by za kilkadziesiąt lat przedstawiona dzisiaj lista nie wydłużyła się.

Moja Mała Ojczyzna (2) – okolice mojego domu

W poprzednim tekście przedstawiłem najbliższą okolicę mojego gospodarstwa. Pisałem o Witoszy i jej historii. Muszę jednak wrócić do lat osiemdziesiątych zeszłego wieku. Jak to dziwnie brzmi?! Wydawałoby się, że nie wiadomo ile mam lat. A przecież nie jestem wcale taki stary. Nie mniej pierwsze moje wypadki na te piękne tereny miały miejsce jeszcze w latach siedemdziesiątych, kiedy to jako nastoletni młodzieniec zacząłem uprawiać turystykę. Początkowo chodziłem na spacer sam, później ze znajomymi, by wreszcie zacząć uczestniczyć w zorganizowanych imprezach cyklicznych. Na przykład Rajdzie na Raty organizowanym przez PTTK w Jeleniej Górze. Ponieważ gmina Podgórzyn graniczy z Jelenią Górą, często wycieczki prowadziły właśnie na jej teren. Można tu bowiem nie tylko wypocząć ale także poznać sporo ciekawych miejsc i związanych z nimi faktów. A muszę powiedzieć, że zawsze, jak pamiętam, wszystkie wycieczki tu planowane zahaczały właśnie o Wzgórze Łonnickie. Dlatego gdy znajomy kupił gospodarstwo w Staniszowie często odwiedzaliśmy go. No a że nie można non stop siedzieć przy ognisku czy przy stole, organizowaliśmy wypadki w okolice jego domu. Mało tego, gdy założyliśmy Karkonoski Klub Krajoznawczy, będący wówczas czymś zupełnie wyjątkowym, bo zrzeszającym samych młodych ludzi, którzy właśnie zakładali rodziny, którym właśnie przychodziły na świat dzieci; staraliśmy się pokazywać tym nowym obywatelom całe to piękno, choć pewnie wtedy jeszcze nie rozumiały tego. Nie pojmowały i nie ogarniały wszystkiego swoimi małymi umysłami. Ale byliśmy przekonani o naszej racji, o tym, że czynimy dobrze.



Dom wznoszony na zboczu Witoszy

Organizowaliśmy często krótkie wypadki z Jeleniej Góry, przez las do Staniszowa. Wiadomo jak wyglądała wówczas komunikacja. Ale najważniejsze dla nas było to, że nasze pociechy przebywały na świeżym powietrzu. A my też mogliśmy odetchnąć od zgiełku miasta, który towarzyszył nam na co dzień. I właśnie najczęściej nasze trasy prowadziły przez Witoszę. Mieszkańcy Staniszowa zapewne wiedzą, że wzgórze to wcale nie jest takie łatwe do zdobycia. I to niezależnie z której strony próbujemy się na nie wdrapać. A my nieraz mieliśmy dobrą zabawę gdy widzieliśmy jak "nowi" idący z nami po raz pierwszy, końcówkę wejścia na Witoszę zaliczali na czworaka. Wtedy dopiero wychodziło w jakiej byli kondycji. W miarę czasu oczywiście wszyscy się wyrabiali i później już przyjemnie było patrzeć jak śmigali, bez zadyszki, po górkach. Nie mniej trafiały nam się często sytuacje, może wówczas nie tyle zabawne (dla nas) co wręcz komiczne. Podam za przykład jak kiedyś spokojnie siedzieliśmy przy ogni-

sku rozmawiając sobie i nie zauważyliśmy, że drogą jechał wóz strażacki. Muszę tu przypomnieć, że w najbardziej znanym obecnie pałacu w Stanisławowie, kiedyś swoją siedzibę mieli strażacy. I właśnie oni, jadąc przystanęli by z armatki wodnej puścić strumień zimnej wody, niby gasząc nasze ognisko. Ale tak naprawdę chcieli się zabawić i przemoczyli nas całkowicie. Początkowo oczywiście byliśmy wściekli, ale gdy uniesienie minęło sami zaczęliśmy się z tego śmiać i skwitowaliśmy to słowami: Pewnie strażacy postanowili się zabawić. I chyba im to wyszło. Nie mieliśmy zatem specjalnie pretensji, ale od tej pory ognisko paliliśmy już za chałupą, tak by z drogi nie było nas widać.



Czop

Przez te wszystkie lata można by o takich ciekawych wydarzeniach opowiadać i opowiadać, ale zakończę te wspomnienia na jeszcze jednym, teraz wydaje się śmiesznym, ale wtedy strasznym przeżyciu. Otóż ze względu na prowadzony przeze mnie interes mam dostęp do wyrobów pirotechnicznych i z tego też powodu zawsze na sylwestra przywoziłem z sobą stosowny zestaw do upiększenia tego wyjątkowego wieczoru. Zapewne niejeden z mieszkańców Stanisławowa pamięta piękne pokazy fajerwerków mające miejsce przy Witoszy. Kiedyś przywoziłem wyjątkowo ładne rury, strzelające na 200 metrów w górę. Dlatego efekt był przepiękny. Ze względów bezpieczeństwa sam mocowałem te rury. Niestety nie przywoziłem ze sobą drutów więc użyłem sznurków jakie dał mi gospodarz. Przewięza-

tem rury dla pewności w czterech miejscach, no i o stosownej porze odpaliłem je. Było wspaniale, pierwsza kula z przeraźliwym piskiem poszybowała w górę, gdzie rozerwała się z potwornym hukiem. Ale za to efekt wizualny był przepiękny. Wszyscy, a było nas tam kilkanaście osób, patrzyliśmy z podziwem na te wspaniałe efekty. Aż tu przy drugim strzale niespodzianka. Sznurek okazał się jakiś felerny i puściło jedno z mocowań. Rura przechyliła się nieco i strzeliła pod kątem. Zaniepokoiło mnie to ale pomyślałem sobie, że może pozostałe mocowania wytrzymają. Niestety tak nie było. Drugi wystrzał poluzował kolejne mocowanie i rura przechyliła się jeszcze mocniej. Zacząłem krzyczeć żeby uciekać bo akurat staliśmy na trasie strzałów. Wiadomo, wszyscy byli już rozluźnieni, więc ich reakcja nie była natychmiastowa. Ale jak następna kula śmignęła pomiędzy nogami to dostali takiego przypieszenia, że nie powstydziliby się tego dobry sprinter. Gdy zobaczyliśmy, że na trasie lotu kolejnej kuli stoją zaparkowane nasze samochody, włosy stanęły nam dęba. Już sobie wyobrażaliśmy wszystko co najgorsze. A tymczasem kolejny odrzut spowodował zerwanie wszystkich wiązań i rura całkowicie przewróciła się na ziemię. I to było nasze ocalenie. Niektórzy powiedzieliby prawdziwy cud. Kolejna kula lecąc po ziemi, dokładnie między trawą a podwoziami samochodów, nie czyniąc żadnych szkód poleciała dalej. Odetchnęliśmy z ulgą. I właśnie w tym momencie przeraził nas potworny huk. Okazało się, że kula po minięciu samochodów poszybowała prosto na chałupę sąsiadki i rozbiła się o jej ganek. To samo uczyniła kolejna kula, następna i jeszcze następna. Już szykowaliśmy się do akcji gaśniczej, ale gdy po wszystkim podbiegliśmy do domu zobaczyliśmy, że skończyło się tylko na osmoleniu drzwi. Widocznie siła uderzenia była tak mocna, że ogień nie zdążył się zająć. Wtedy dotarło do nas dopiero, co się stało. Dziękowaliśmy opatrznosci, że sąsiadki akurat w ten wieczór nie było w domu, bo chyba dostałaby zawału.

Pewnego razu dotarła do mnie wiadomość o możliwości kupna ziemi od Agencji Rolnej. Pomyślałem sobie wówczas dlaczego nie. Miejsce ładne, okolica spokojna, ludzie mili. Poszedłem na przetarg i kupiłem kilka hektarów. Później dokupiłem kolejne, i jeszcze kolejne. I tak oto zostałem rolnikiem. Zacząłem poznawać sąsiadów, bliższych i dalszych. Początkowo w Staniszowie, później w innych miejscowościach gminy. I tak powolutku, mogę chyba powiedzieć, że zasiedziłem się i jestem już u siebie.

Jako krajoznawca zacząłem poznawać okolice. Po Witoszy zaciekały mnie sąsiednie wzgórza. Dotarłem na wzniesienie o nazwie Czop, gdzie wypatrzyłem piękną skałę. Jej rozmiary robią wrażenie. Tak zresztą było też i dawniej. W czasach gdy przez nasze ziemie maszerowały wojska napoleońskie, grupa 10-ciu żołnierzy francuskich (grenadierów), również wypatrzyła tą skałę. Pobudzona u nich wówczas wyobraźnia kazała im spróbować zepchnąć ją. Wzrokowo bowiem wyglądało, że bez najmniejszego trudu można ją puścić na dół, że ześlizgnie się ona ze zbocza. Oczywiście tak się nie stało. Skała trzymała się jak przyklejona, ale od tamtej pory mówi się o niej albo Grenadierski Kamień, albo Francuski Kamień. Dzisiaj gdy idę popatrzeć na nią, spotykam nieraz ludzi, którzy próbują swoich sił, by zrobić to co niemożliwe. Wiadomo przecież, że przetrwa ona, w tej pozycji, nas wszystkich. Aby jednak nie było niejasności, poprawna nazwa dla całego wniesienia to Czop, od pierwotnej nazwy wspomnianych wyżej skałek. Dla ułatwienia dostępu do tego dobrego (dawniej) punktu widokowego w parku pałacowym, wykuto stopnie.

A jak już zapędziliśmy się w te okolice to warto, zwłaszcza w okresie kwitnienia drzew, zejść do asfaltu, zbroczem wzdłuż płotu, bo za nim rośnie stare, bardzo piękne drzewo. Jest ono wielką rzadkością, a gdy kwitnie wygląda wręcz przepięknie. Drzewo to to Tulipanowiec. Jeśli ktoś nie widział jego to naprawdę powinien wybrać się tu na spacer.

Idąc dalej zielonym szlakiem możemy dojść do kolejnej atrakcji, która mimo, że leży już w gminie Mysłakowice, to jednak należy do Wzgórz Łomnickich. Jest to Krzyżowa Góra. Obecnie zmieniono przebieg szlaku zielonego. Niestety nowi właściciele terenów nie zawsze życzą sobie by turyści chodzili po ich gruncie. Mimo że szlaki turystyczne zazwyczaj są prowadzone drogami gminnymi czy leśnymi. Ale niestety osoby decydujące o przebiegu szlaków często nie chcą się spierać i po prostu zmieniają ich przebieg. Krzyżowa Góra to ciekawe miejsce wykorzystane jako element założenia romantycznego. W 1874 roku, na polecenie cesarza Wilhelma I ustawiono tu kamienny krzyż, którym zastąpiono znajdujący się tam od 1838 roku krzyż drewniany. Nowy krzyż był nazywany Krzyżem Trzech Królów Pruskich. Ponieważ początkowo wzgórze to było niezalesione zarówno widok z

niego był wspaniały, jak i samo wzgórze, było widoczne z pałacu w Mysłakowicach. Dzisiaj wszystko jest porośnięte drzewami i widoki są już mocno ograniczone. Mnie osobiście cieszy fakt, że w tamtych czasach panowała moda na organizowanie tego typu założeń. Dzięki temu możemy podziwiać niejedną piękną rzecz. A jak wyobrazimy sobie, jak musiało to wyglądać zaraz po zbudowaniu, to aż zazdrościmy ludziom żyjącym w tamtych czasach. Zazdrościmy im, że mogli na co dzień podziwiać to wszystko. A jak jeszcze dodamy, że wówczas nie było tylu zakazów i ograniczeń co dzisiaj, realizacje (nieraz bardzo wybujałych marzeń właścicieli ziemskich) tworzone były tylko w ograniczeniu o dostępne finanse. Jednak bez realizacji tych dziwactw co mielibyśmy dzisiaj? Nic! A tak dzisiaj możemy usiąść na kamiennej ławeczce w tak zwanej Kamiennej Altanie i odpocząć sobie.

Zapomniałem podkreślić, że do swojej ziemi jadę drogą zwaną przez niektórych królewską. Jest ona obsadzona dębami, które dzisiaj są tak potężne, że nie sposób ich pominąć. A jeszcze na skrzyżowaniu dróg, właśnie na wysokości wzgórza Czop rośnie, co prawda już podsychający, ale tak potężny dąb, że nieraz widzę jak zmiierzają w jego kierunku liczne wycieczki.

Zaraz za polem, na którym rośnie ów dąb kończy się nasza gmina i rozciągają spore bagna. Ale na pewno mało kto domyśla się, iż woda z tych terenów odprowadzana jest potokiem o nazwie Pijawnik. Każdy kto spotkał się z tą nazwą raczej skojarzy go z osiedlem Czarne.

Schodząc wspomnianą drogą, która teraz, zresztą zgodnie z naszymi prośbami, została wzmocniona nawierzchnią asfaltową (poprzednio była to droga pokryta brukiem), zobaczymy ciekawą skałę o sporych rozmiarach, a obok stary bardzo ładny w formie drewniany domek. Mieszkańcy nazywają go Domem Poetów. Nazwa może być nieco myląca, bo gdy próbowałem dociec jacy to poeci tutaj mieszkali, to wszyscy raczej mówią o jednym. Niestety nikt nie potrafił wymienić go z nazwiska. Ale kiedyś dowiem się tego.

Przy głównej drodze zachował się jeszcze budynek remizy strażackiej, obecnie wykorzystywany jako bar. Można tutaj odpocząć sobie przy kominku lub, gdy jest ładna pogoda, na ławeczkach rozstawionych na zewnątrz. Wspominam o tym ponieważ nieraz znajdzie się okazja do rozmowy z klientami. Można tu często spotkać starszych mieszkańców Staniszowa, którzy naprawdę mają o czym opowiadać. I bardzo chętnie to czynią. O zabudowaniach, które znajdują się przy przystanku napiszę w następnej opowieści, teraz jeszcze tylko zaproponuję odwiedzenie stojącego nieopodal budynku, w którym do niedawna znajdowała się szkoła. Niestety dzisiaj szkoły co chwile przekształcają się i ta przestała być potrzebna. Ze względu na jej usytuowanie i wielkość, gmina przeprowadza prace budowlane dostosowujące obiekt dla potrzeb schroniska młodzieżowego. Myślę, że to świetny pomysł. Miejsce urocze, a ponad stuletnia budowla to ciekawy w formie budynek zwieńczony 3-osiowym niby ryzalitem, przykryty dwuspadowym dachem z naczółkami. Zobaczymy jak będzie wyglądał po remoncie. Ale ciekawe są też nisze w skałach za budynkiem. A dodam tylko, że nieraz w tym właśnie budynku odbywały się zabawy sylwestrowe. Sam kiedyś brałem udział w jednej z nich i miałem wówczas możliwość poznać bliżej wielu mieszkańców.

Wydawca:

Komisja Krajoznawcza Oddziału PTTK "Sudety Zachodnie"

Jelenia Góra - marzec 2013

Tekst i foto: Krzysztof Tęcza